

Wywiad Szymona Hołowni z Dominiką

Nazywam się Dominika Roqueplo. Dziewiętnaście lat temu wyszłam za Jana Woźniakowskiego, jestem mamą trójki wspaniałych dzieci. Wiele lat żyliśmy szczęściem dobrej, kochającej się rodziny. Nie chcę pisać testamentów, nie chcę pisać pamiętników. Nie chcę żegnać się z życiem. Nauczyłam się już nie kombinować, żyć tu i teraz. A co będzie? O tym i tak nic mi nie wiadomo.

Jak się pani teraz czuje? Co mówią lekarze?

Tydzień temu robiono mi rezonans, na razie stan jest stabilny.

Stabilny?

Nowotwór jest w miednicy małej, zaatakował kość krzyżową, wchodzi do kręgosłupa, ale w tej chwili chyba się zatrzymał. Dotąd z każdym kolejnym badaniem okazywało się, że idzie dalej i dalej, na razie - nie wiedzieć czemu - nie idzie. Za miesiąc będę miała kolejny rezonans, wtedy zobaczymy.

Miała już pani w życiu momenty, kiedy szła pani do lekarza i słyszała pani daty - ma pani przed sobą jeszcze tygodnie, miesiące, lata życia.

Tygodnie może nie, ale miesiące – tak. Zdarzało się też, że lekarze mówili, że wszystko będzie ok. Nie wiedzieli, że ten rak będzie tak agresywny. To był nowotwór jelita grubego, myśleli że łatwy do zoperowania, lekka chemia i przejdzie. Ale później pojawiły się przerzuty, chemie - wcale nie takie lekkie, radioterapia, operacje. To wszystko postępowało.

Gdy po raz pierwszy usłyszała pani tę diagnozę, była pani już mamą niepełnosprawnego syna. Kiedy okazało się, że jest chory?

Kłopoty były już w trakcie porodu. Nie oddychał, więc była cała akcja reanimacyjna, od razu wzięli go do inkubatora, lekarz nie bardzo wiedział co się dzieje, bo nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Dopiero gdy dziecko pojawiło się na świecie okazało się, że nie oddycha. Po reanimacji Iwo dostał udaru, później drugiego. Był w bardzo ciężkim stanie, przez pierwszy miesiąc życia nie reagował na żadne bodźce. Spał.

Z mężem odchodziliście pewnie od zmysłów.

Początkowo żyliśmy jak każda rodzina, mieliśmy normalne troski. Że któryś ze starszych synów się zaziębi, takie zwykłe rzeczy. Każdy się przecież czymś martwi, ale nigdy to nie było tak ogromne wyzwanie jak ciężko chore dziecko, jak ciężar pytania: czy mój syn przeżyje. Nasz syn mógł umrzeć. Jak to powiedzieć Hubertowi i Piotrowi, chłopakom, którzy czekają na rodzeństwo? Mój mąż pytał sam siebie: czy jeśli Iwo ma koszmarnie cierpieć i umrzeć, to czy już nie lepiej by stało się to teraz... Lekarze nie umieli przewidzieć, co się stanie. Nasz doktor mówił, że syn może nie przeżyć, że może przeżyć i być niepełnosprawny, albo że może wyjść z tego bez szwanku.

Wyczerpująca informacja.

Tak, a po tym dodał: czy mają Państwo jeszcze jakieś pytania? Miałam jedno: czy mogę go dotknąć? To było dla mnie najistotniejsze. Ja nie zastanawiałam się nad tym, czy biorąc pod uwagę jego przyszłość lepiej by było by Iwo odszedł już teraz, czy nie. Skupiłam się na tym, co tu i teraz, co jest. Moja jedyna wątpliwość brzmiała: czy podołam, czy będę umiała być matką niepełnosprawnego dziecka?

A nie pytała Pani siebie: dlaczego? Gdy człowiek konfrontuje się z nieszczęściem, myśli: „dlaczego?” Czy to moja wina? Czy Bóg tak chciał? Co się stało?

Oczywiście, że o to pytałam. Na początku winiłam siebie. Myślałam, że popełniłam błąd w trakcie porodu, że to dlatego że poprosiłam o znieczulający zastrzyk w kręgosłup. Dwóch starszych synów rodziłam naturalnie, bez żadnych zastrzyków, ale tym razem wszyscy wokół mnie nalegali: zrób to ze znieczuleniem, będzie cudowny poród. Wszyscy mówili tylko o tym cudownym porodzie. To była pierwsza myśl - to moja wina, bo gdybym nie była znieczulona, wiedziałabym, że coś jest nie tak. Później wytłumaczono mi, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Czy przeszło mi przez głowę, że to jakaś kara? Raczej nie. Przed porodem miałam nieasamowite przeżycie. Mój mąż ma niedoszłą chrześną matkę, która jest zakonnicą, bardzo ją cenię, jest świętą osobą, bardzo chciałam przed porodem zobaczyć się z nią...

Pójść po błogosławieństwo?

Tak. Na do widzenia chciała zostać ze mną sam na sam. Powiedziała mi: „Dominiczko, pamiętaj, cokolwiek się stanie, przyjmij to jako prezent od Pana Boga”. Powiedziała to dwa razy.

Gdybym usłyszał takie słowa, natychmiast zacząłbym się bać.

No więc ja też wyszłam stamtąd na miękkich nogach. Dlaczego ona mi mówi takie rzeczy? Przecież urodziłam dwoje dzieci bez kłopotów, czuję się świetnie, robiłam niejedno USG u superspecjalistów, wygląda, że dziecko będzie zdrowe, więc co niby ma się stać? Więc może coś źle zrozumiałam, a może siostra powiedziała to tylko tak, po prostu? Coś się we mnie jednak obudziło, jakaś nuta której nie było we mnie wcześniej. Idąc do samochodu zadałam sobie w duchu pytanie: a gdyby rzeczywiście coś się stało, czy umiałabym to przyjąć jako prezent od Boga czy nie? Nie myślałam jednak nad tym wtedy dłużej.

Przypomniałam to sobie, gdy urodziłam Iwa i zabrali go na OIOM, zostałam sama w pokoju. Rozpłakałam się makabrycznie: jaka jestem nieszczęśliwa, zabrali mi dziecko, jak coś takiego mogło się stać?! To była rozpacz w najczystszej postaci. W końcu - myślę, że to była interwencja łaski - dotarło do mnie, że płaczę nad sobą. I że to jest beznadziejne! Moje dziecko leży w szpitalu na Litewskiej, jest umierające, potrzebuje mnie, muszę zebrać siły i być dla niego. Dać mu siłę, a nie lamentować nad swoimi łzami! Wtedy przypomniały mi się właśnie słowa Genowefki, pozwoliły mi wykonać najtrudniejszy i najważniejszy krok gdy człowieka dotyka nieszczęście - wyjść ponad własny ból. Zobaczyć, że w tym co się stało nie chodzi o mnie, że nieszczęście które mi się przytrafia, to nie koniec drogi i czarna ściana, pod którą mogę tylko wyć i drzeć szaty. Że to początek jakiejś nowej historii. Te słowa zmieniły mi optykę, bo skoro to jest prezent od Boga, coś sensownego musi się dać z tym zrobić. „Boże, jak mam to zrobić, żeby przyjąć to jako prezent? Czy będę umiała, bo na razie nie potrafię?”. Nie byłam w stanie tego zrobić od razu, w chwili gdy rodziłam moje dziecko, tego nie robi się ot tak, ta myśl potrzebuje chwili czasu.

Oraz łaski.

To musiała być sprawa łaski, bo to otrzeźwienie nastąpiło jednak dość szybko. Rodziłam z soboty na niedzielę, całą niedzielę leżałam w szpitalu, a już w poniedziałek zebrałam się w sobie i poszłam do Iwa. Pamiętam, to było niesłychane przeżycie, mistyka w czystej postaci. Najpierw był lekarz i jego trzy ewentualności. Później mój mąż mówiący mi: „Słuchaj, jak wejdiesz do Iwa, zobaczysz, to jest po prostu makabra, on jest cały pokłuty, ma kabelki tu, tam, to wygląda strasznie, nie wiem jak ty to przeżyjesz, więc nastaw się, to może być ciężki cios”. Weszłam i to było dla mnie jak cud: widziałam po prostu śliczne dziecko, takie spokojne... Był w śpiączce, więc spał jak aniołek, miał taki niesamowity kolor... I miałam taką wizję, że to nie jest moje dziecko, tylko że to dziecko Pana Boga i że może będzie mi dane, żeby go wychowywać i się nim zajmować, a może nie. To było dla mnie absolutnie

jasne, pewne... To bardzo dziwne mówić takie rzeczy przed kamerą, ale jedyne słowa jakie miałam wtedy w sobie patrząc na to dziecko, to były słowa Matki Boskiej: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego”... To było dla mnie niesłychane, bo to było wyznanie mojej wiary, po raz pierwszy w życiu. Zawsze byłam osobą wierzącą, powtarzałam te słowa w kościele, ale co innego powtarzać, a co innego wyznać. I to gdy człowiek zostaje przyciśnięty do muru. Wtedy dotarło do mnie, że moc wiary człowiek może dostrzec dopiero, gdy ją wyzna. Dlatego myślę, że to był moment jakiejś niesłychanej łaski, która na mnie spłynęła.

To, że człowiek wyznaje wiarę, że przyjmuje to, nie oznacza rzecz jasna, że nie ma łez, że nie ma smutku, bo to jednak jest strasznie trudne. Więc było mnóstwo łez. Były dzieci, które zadawały nam pytania: „Mamo, całą ciężę modliliśmy się o zdrową siostrę, a urodził się brat i to chory. Co to jest za Pan Bóg, który...”

Jak można na to odpowiedzieć?

Jedyna odpowiedź jaka przyszła mi do głowy, to że Pan Bóg właśnie jest tu teraz z nami w tym momencie, w tym cierpieniu.

Konsekwentnie prowadził Panią drogą Matki Boskiej, najpierw: „oto ja służebnica Twoja”, później - pod krzyż. Pani własna konfrontacja z cierpieniem i śmiercią.

No tak. Momentami nawet czułam się, jakbym była ukrzyżowana.

Mówiła Pani wtedy Panu Bogu: „może zbastuj już z tymi prezentami”?

Gdy usłyszałam, że mam raka to było bardzo trudne, naprawdę, ale wtedy też myślałam, że to jakiś kolejny etap, który widocznie muszę przejść... Przekroczyć siebie samą? Nie wiem...

Po co?

Choćby po to, by sprawdzić, czy rzeczywiście jestem niezastąpiona. Bo przecież jestem - jestem potrzebna Iwowi. Świat się zawali, jak mnie nie będzie. A może właśnie nie? Może musiałam tego doświadczyć, żeby zrozumieć, że nie można też monopolizować pomocy cierpiącemu? Czasem trzeba się usunąć, odejść gdzieś i zaufać, że są inni, którzy mogą też tutaj odegrać ważną rolę.

Uczenie życia przez zwiększanie dawki cierpienia? Naprawdę nie miała Pani ochoty się zbuntować?

Nie zbuntowałam się. Ani przy Iwie, ani przy mojej diagnozie. Dopiero gdy okazało się, że starszy syn, Hubert, jest chory, na chwilę się zawahałam: „Dlaczego? Czy to co już jest, to dla Ciebie mało?”

Jak to się stało?

Hubert miał szesnaście lat. Zachorował na zapalenie płuc, był bardzo słaby, myśleliśmy, że to po prostu okres dojrzewania. Ja wtedy byłam po piątej operacji, w stanie naprawdę makabrycznym, już nie wstawałam z łóżka, nie dałam rady iść nawet do łazienki, odwiedzała mnie pielęgniarka hospicyjna. Było bardzo źle, wszyscy właściwie myśleli już, że to kwestia dni. Lekarka Huberta nie chciała mi powiedzieć, co się dzieje, żeby mnie nie dobijać, ale ją zmusiłam. Do tej pory mówiono, że może Hubert ma mononukleozę. Ale ja miałam mononukleozę w młodości, więc mówię: bez przesady. Po co brać Huberta do szpitala w piątek wieczorem? Znam już szpitale na tyle, by wiedzieć, że w weekendy nic się w nich nie robi. W końcu lekarka "pękła" i mówi: pani Dominiko, nie wiemy, może to mononukleozą, ale wygląda na to, że może to też być białaczka. To był kolejny cios. I wtedy rzeczywiście sobie pomyślałam: „No, Panie Boże, co jeszcze? Sama nie wiem - dałam już chyba wystarczające świadectwo, że przyjmuję różne trudne rzeczy i jakoś idziemy z tym do przodu...”

Po takim doświadczeniu można nie tylko pytać, ale wręcz stracić wiarę.

Pewnie można, ale cały czas jakaś łaska jest chyba nad nami. Nade mną. Sama się dziwię, że nie straciłam tej wiary. To niesłychane, co się dzieje. Ludzie mi mówią, że jestem taka silna, to musi być coś poza mną.

Pani historia to historia Hioba.

Myślałam o nim. W pewien sposób identyfikuję się z nim.

On do końca nie poznał odpowiedzi na pytanie, dlaczego dobry Bóg pozwolił, żeby nieszczęście tak go przeorało.

Bo może Panu Bogu nie chodzi o to, żeby były happy endy. Dużo ludzi się modli o cuda i każdy by chciał, żeby skończyło się jak w bajce, prawda? Idziemy do sanktuarium i nagle zdrowie, szczęście, wszystko nowe. Niektórzy ludzie podchodzą do wiary w ten sposób, że jak się będziemy modlić to zaraz Pan Bóg wysłucha i będzie wszystko cudownie. A mi się

wydaje, że Pan Bóg przede wszystkim potrzebuje ludzi, którzy świadczą swoim życiem o Prawdzie, o tym że On jest. A jak wszystko się dobrze dzieje, to ciężko jest o tym świadczyć. W ogóle się o tym nie myśli.

Trzy osoby chore, dwie zdrowe. Jak zmieniły się relacje w waszej rodzinie? Czy mąż, zdrowy syn nie mówią, że mają po prostu dość?

Szczególnie nasz środkowy syn, ten jedyny zdrowy, poza moim mężem. Na pewno Piotr ma już tego serdecznie dość. Poza tym myślę, że boi się, że on też zachoruje, że to prawo serii i jego nie ominie...

Albo że pani zabraknie.

I że mnie zabraknie. Na pewno się tego boi. To jest dla niego bardzo trudne doświadczenie, a zarazem to niesłychane jak te choroby nas jako rodzinę scalały, scementowały.

Przygotowuje Pani bliskich na to, że może Pani zabraknąć?

Tak. Rozmawiam z nimi bardzo otwarcie. Zawsze jak mam złe wiadomości, to im wszystko mówię.

Co im pani mówi?

Niektórzy się obraceją, ale ja naprawdę mówię im wszystko. Tak jak ostatnio - że właśnie byłam u doktora, że wiadomości są niepokojące, bo jak rak przerzucił się do kości krzyżowej i do kręgosłupa, lekarze nie byli zbyt entuzjastyczni. Że nie wiadomo ile mi życia zostało... Powiedziałam to dzieciom, bo mój mąż był wtedy w pracy, rozplakaliśmy się wszyscy w trójkę. Powiedziałam im, że przecież nie chcę być chora. Nie chcę odchodzić. I jeszcze nie odchodzę. Powiedziałam: „słuchajcie, póki jeszcze tu jestem, to się musimy trzymać”.

O czym pani marzy?

O czym marzę? Na pewno, żeby wyzdrowieć.

Czyli jednak cud?

Żeby wyzdrowieć. Żeby Iwo mówił. Żeby Hubert nie zachorował.

Dominika Roqueplo zmarła 30. kwietnia 2010 r.